

## TROJKA PRZYJACIOŁ

Myślę, że nikt nie będzie mógł mi zaprzeczyć, jeśli napiszę, że byłam pierwszą i jedyną przyjaciółką Sherlocka Holmesa – tego słynnego detektywa. Jednak kiedy się poznaliśmy, on nie był jeszcze detektywem, ani tym bardziej nie był słynny. Ja miałam dwanaście lat, a on był niewiele starszy ode mnie. Było lato.

Dokładnie lipiec. Szóstego.

Ciągle doskonale pamiętam moment, w którym spotkałam go po raz pierwszy; siedział w kącie na skalnych ścianach bastionów, opierając się o wszędobylski bluszcz. Za nim było tylko morze: ciemnogrnatowa, wibrująca połać, a po niebie krążyły mewy, wykonując powolne spirale.

Mój przyjaciel siedział z podciągniętymi pod brodę kolanami i był całkowicie pochłonięty książką, którą czytał tak zachłannie, jakby od tej lektury zależało coś niezwykle ważnego dla całego świata.

Chyba nigdy nie zauważyłby mojej obecności i nigdy byśmy się nie poznali, gdyby nie zaciekała mnie ta ogromna, szalona koncentracja i gdybym nie podeszła do niego, żeby mu przeszkodzić.

Ponieważ dopiero co przyjechałam do Saint-Malo, zapytałam go, czy on tutaj mieszka. Odpowiedział mi, nawet nie odrywając wzroku od książki:

– Nie – powiedział. – Mieszkam w domu, na Rue Saint Saveur, pod numerem 49.

„Też mi poczucie humoru!” – pomyślałam. Pewnie, że nie mieszkał tam, na bastionie obok morza. „*Touché*” – powiedziałam sobie i zrozumiałam, że gra między nami właśnie się rozpoczęła.

Byłam obca.

Dopiero co przyjechałam do Saint-Malo. Podróż powozem z Paryża była długa i męcząca. Mieliśmy wakacje i to moja mama zaproponowała, żeby spędzić je właśnie w tym miasteczku.

Nie tylko byłam zadowolona – byłam wprost wniebowzięta! Do tej pory widziałam morze tylko raz czy dwa: kiedy towarzyszyliśmy tacie w podróży do Calais, gdzie zaokrętował się na statek płynący do Anglii i raz do San Remo, we Włoszech.

Wszyscy mówili, że byłam za mała, żeby to pamiętać, ale ja to morze pamiętałam, naprawdę pamiętałam.

Dlatego myśl, że miałam spędzić całe lato 1870 roku w małej, nadmorskiej miejscowości turystycznej wydała mi się po prostu cudowna. I chętnie posłuchałabym rady mojego taty, który powtarzał ciągle: „Jeśli chcecie, zostańcie tam jeszcze jakiś czas. Nie ma przecież żadnej potrzeby, żebyście wracały do Paryża”.

Ale prawda była taka, że moja mama wolała mieszkać w mieście. A ja po wakacjach miałam wrócić do szkoły... Gdyby nie to lato. Lato, które odmieniło całe, dokładnie całe moje życie.

Podróż była okropna. Nie była to oczywiście wina powozu, który mój tata wynajął, nie bacząc na koszty, jak zwykle zresztą, gdy w grę wchodziło zapewnienie wygód mnie lub mamie. Był to istic królewski powóz z czterema czarnymi końmi, woźnicą w cylindrze i siedzeniami pokrytymi poduszkami z chińskiego jedwabiu.

Niemniej jednak sześć godzin podróży pod baczным okiem mamy i pana Nelsona były dla mnie prawdziwą wiecznością.

Pan Horacy Nelson był czarnoskórym majordomusem w domu Adlerów; bardzo wysoki, bardzo milczący i szalenie przejmował się wszystkim tym, co robiłam. Większość służby domowej pojechała do Saint-Malo już tydzień wcześniej, żeby przygotować to, co miało być naszym wakacyjnym domem i pan Nelson był jedynym, który z nami pozostał.

Nie odrywał ode mnie wzroku. I kiedy tylko mógł, mówił mi: „To chyba nie jest dobry pomysł, panienko Irene”.

„To chyba nie jest dobry pomysł” – zawsze tak mi mówił.

Może to właśnie z tego powodu przy pierwszej nadarzającej się okazji uciekłam i poszłam wietrzną ścieżką, prowadzącą do bastionów Saint-Malo.

Nasz wakacyjny dom był dwupiętrową willą. Niewielką, ale bardzo ładną, z dużym przeszkleniem w dachu i z tymi oknami, które Anglicy nazywają *bowwindow*, „okna lukowe”, a które ja jako dziecko nazywałam „brzuchatymi oknami”.

Była altana pełna glicynii i dużo pnącego się bluszczu, który pokrywał fasadę domu. Gdy mama go zobaczyła, od razu powiedziała: „O, niebiosa, będziemy mieli zawsze pełno przeróżnych bestii”, a mnie zajęło trochę czasu, zanim zrozumiałam, co miała na myśli.

Stało się to kilka dni później, kiedy zostawiłam w pokoju otwarte okna i zobaczyłam wijącego się po podłodze zaskrońca.

– To chyba nie jest dobry pomysł, panienko, żeby zostawiać na noc otwarte okna – powiedział srogo pan Nelson, wchodząc do pokoju. Wziął kominkowy pogrzebacz, a ja krzyknęłam:

– Niech pan nawet nie próbuje, panie Horacy Nelsonie!

Wtedy on westchnął, odłożył pogrzebacz, chwycił zaskrońca za ogon i powiedział:

– Proszę mi pozwolić odnieść swojego gościa do ogrodu.

Nelson był gburowaty, ale wiedział jak mnie rozśmieszyć. Od czasu do czasu.

Gdy tylko wyszedł z pokoju, wraz z wijącym się „moim gościem”, nagle otworzyły się drzwi szafy i ukazała się w nich pociągła, chłopięca twarz.

To był mój drugi wielki przyjaciel tego długiego lata. Nazywał się Arsene Lupin – tak jak ten słynny złodziej-dżentelmen. Tylko że wtedy jeszcze nie rozpoczął swojej błyskotliwej kariery międzynarodowego złodzieja.

Ani nie był dżentelmentem, biorąc pod uwagę, że miał tylko dwa lata więcej ode mnie i trochę mniej niż Sherlock Holmes.

Teraz, kiedy już wiecie, jak nazywali się moi przyjaciele, możecie sobie łatwo wyobrazić, że tamtego lata wydarzyło się wiele spraw, które zasługują na to, żeby o nich opowiedzieć.

Będzie więc lepiej, jeśli zacznę od początku.

Rozdział 2

## SZTUKA UCIECZKI

*Touché* – powiedziała głośno. Oparłam dłonie na biodrach i przechyliłam lekko głowę. Wiedziała, że mama robi tak za każdym razem, kiedy domaga się uwagi taty. Wyglądało jednak na to, że Sherlock Holmes nie miał najmniejszego zamiaru poświęcać mi ani trochę swojej uwagi.

– Co czytasz? – zapytałam go.

– Książkę.

– Czytasz wszystkie słowa, czy tylko co któreś? Moja trywialna odzywka zdołała go zdenerwować. Wsunął palec w środek książki, żeby wiedzieć, gdzie skończył czytać i odwrócił się w moją stronę, wbijając we mnie swoje palące spojrzenie.

– Wiesz kim był René Duguay-Trouin? – zapytał.

– Nie.

– Aj! – odpowiedział. – Kiepska zdolność obserwacji.

I, powiedziawszy to, ponownie wsadził nos w książkę. Kilka lat później odgryzłabym mu się jak należy, ale tamtego dnia nie śmiałam. Poza tym byłam zbyt zadowolona z faktu, że mam przed sobą całe lato w tej bajecznej, nadmorskiej miejscowości i nie chciałam kłócić się z pierwszą osobą, jaką napotkałam po wyjściu z domu.

Przypuszczałam, że mama była zajęta wydawaniem poleceń służbie na temat tego, jak i gdzie mają rozpakować nasze bagaże, ale ja naprawdę nie miałam zamiaru stracić całego popołudnia w ten sposób!

Znalazłam małą furtkę w tylnej części ogrodu, otworzyłam ją i stamtąd dotarłam do krętych uliczek Starego Miasta, do cypla i do murów obronnych.

Ten chłopiec był pierwszą osobą, jaką spotkałam.

Nic o nim nie wiedziałam, oprócz tego, że był bardzo źle wychowany i że mówił po angielsku. Postanowiłam go ignorować.

Przybliżyłam się do balustrady bastionu i spojrzałam w dół. Kapryśnie postrzępiony pas białego piasku rozciągał się w dal, zupełnie jakby chciał objąć granat morza.

Popatrzyłam na niewielki port, na cypel i wreszcie na dwie wysepki znajdujące się nie więcej, niż sto metrów od brzegu.

Potem odwróciłam się i dopiero wtedy zauważyłam znajdującą się kilka kroków od nas statkę na cokole.

– René Duguay-Trouin – szepnęłam, cmokając.

Teraz już wiedziałam, kim był.

– To bohater mórz – powiedziałam głośno, przyglądając się dobrze posągowi.

Wskoczyłam na balustradę i usiadłam na niej. Słyszałam rozbijające się za mną fale, a poczucie pustki spowodowane wysokością bastionów było wprost odurzające.

– To był korsarz – poprawił mnie.

Przewrócił kilka kartek swojej książki i mówił dalej:

– Urodził się w tym mieście, w 1673 roku. Był ósmym z dziesiątki dzieci. Piątka z nich zmarła prawie zaraz po urodzeniu.

– Ale on nie.

– Nie. On zaokrętował się na statku i stał się jednym z najsłynniejszych piratów swojej epoki.

Machałam nogami w powietrzu, udając, że już go wcale nie słucham. Wtedy on przestał mówić i udawał, że czyta.

W ten sposób spędziliśmy kilka minut, ale potem przyłapałam go, jak podpatruje mnie znad książki.

Chciało mi się śmiać.

I zaśmiałam się.

- No co? Co ci się dzieje? – zapytał.
- Śmieję się, bo mi się przyglądasz.
- Nieprawda – skłamał.
- Prawda, prawda. Przyglądałeś mi się znad książki.
- Uff! – parsknął, próbując wygodniej usadowić się w niewielkim, pokrytym bluszczem kącie.
- W każdym razie, mam na imię Irene – odpowiedziałam wesoło. Nie mogłam przestać się śmiać. Patrzyłam na statwę tego pana w kapeluszu, ze szpadą w dłoni i myślałam o tych wszystkich niepotrzebnych informacjach, jakich właśnie dowiedziałam się od tego chłopca. Korsarz, pirat, bla, bla, bla... Te same, co zwykle puste słowa chłopaków.
- A ty? Masz jakieś imię?
- Mam nawet dwa: William Sherlock – odpowiedział sarkastycznie. – Ale wszyscy nazywają mnie po prostu Williamem... Chyba Sherlock wydaje im się zbyt ekscentryczne!
- Pamiętam dokładnie, że długo zastanawiałam się w milczeniu, aż w końcu powiedziałam:
- E tam, moim zdaniem oni się mylą! William to jest takie zwykłe imię... Sherlock bardziej ci pasuje, wiesz?
- Skoro ty to mówisz...
- Pewnie, że to mówię. I powiem więcej: już postanowiłam! Dla mnie będziesz Sherlockiem!